

PO XXVII OFTJA

IDZIE NOWE

JADWIGA OLERADZKA

Sobie śpiewam, a muzom? Empiki pozamykano, w domach kultury większych miast od biedy da się sprzedać piosenkarza o telewizyjnym nazwisku, w głębokim terenie może by i parę osób na monodram przyszło, ale tam z kolei nie ma z czego aktorowi zapłacić... Pejzaż miejsc kultury, jaki jest, każdy wie. Z jednej strony może to lepiej – odpadli niezłomni chałturnicy dofabiający się fortun w miastach, gminach, wsiach, gdziekolwiek tylko dało się dojechać. Rekordziści, którzy – jak fama głosi – potrafili ten sam program prezentować ponad tysiąc razy! A że koszty własne były niewielkie, zajęcie u chodziło za nader intratne.

Opadli też frustraci. Zapoznane gwiazdy, wieczni hałabardnicy, zgłaszający się na wszystkie konkursy z nadzieją, że kiedyś... że może ktoś... jakiś Wajda... jakiś Zanussi... Część jęła się zająć bardziej intratnych, inni przestali w końcu wjeżyć w cuda. Kto pozostał? W ostatnich latach wydawało się, że prawie nikt. Jakiś aktor średniej klasy, jakiś pasjonat, student szkoły teatralnej, ambitny aktywista usiłujący przekonywać do akurat modnej idei.

Było marnie

festiwalowo po wierzchu, w środku smętnie. Pojedyncze sukcesy nic tu nie zmieniały. Nie zamierzam przeceniać, co w tym roku pokazano na OFTJA w Toruniu. Nie były to żadne Fimalaje artyzmu. Ale większość przedstawień festiwalowych stanowiły spektakle uczciwe, często gorące, zrobione z ważnego powodu. Aktorzy XXVII OFTJA – w konkursie i poza nim – byli przeważnie młodzi, co dobrze zgadzało się z promocyjnym charakterem imprezy. W najlepszych swych latach bowiem Toruń nie nagradzał gwiazd, on je jansował. Stalińska, Sadowski (ten od krakowskiej „Mandali”), Andrzej Grabowski, Juszczykiewicz, Żentara, Cezary Pazura – listę można znacznie wydłużyć.

W tym roku, wraz z młodością, pojawił się nowy typ teatralnej wrażliwości, widoczny m. in. w traktowaniu literatury. Jeśli więc klasyka – to przede wszystkim, jeśli poezja – to w teatralnej estetyce, której próbowały dotąd jedynie sceny studenckie – równocześnie ascetycznej i wyrafinowanej. Taki był jeden z piękniejszych monodramów OFTJA – „Inwokacja” według Kafki, Whitmana i Księgi Hioba, grana przez Witolda Dąbrowskiego w absolutnej niemal czerni, rozjaśnianej rzadka rozjarzającym się światłem nagicznych żarówek na czarnych sznurach. Ta opowieść o dążeniu człowieka do śmierci miała skondensowaną wizyjną urodę, delikatność i – mimo ogromnej teatralności – dwuznaczność, tajemnicę. Dąbrowski dostał tylko jedną nagrodę, ale w podsumowaniu każdy prawie juror wra-

cał do tego przedstawienia. Zostało zapamiętane.

W tym samym nurcie mieścił się monodram Witolda Kopcia (także z Lublina) pt. „Próba, albo powiedzieć jeden wiersz” według eseju Valery'ego o miejscu sztuki w życiu. Tyle, że tu – mimo wielu pięknych pomysłów: plastycznych, inscenizacyjnych – tego skupienia, tajemnicy, jaką miał monodram Dąbrowskiego zabrakło. Zbyt to było estetyczne. Dalekie.

Kolejną próbą

szukania nowej formy

okazały się mimodramy. „Tkacz snów” Andrzeja Łuczkowskiego (Teatr Dłoni w Łodzi), gdzie było wiele fascynujących obrazów i mało oryginalna dramaturgia, oraz „Wesele” Miroslawa Wójcika (Wrocławski Teatr Pantomimy TOK) – żart dający chwilami efekt zaskakującej iluzji (wykonawca „rozdwójony” na pannę młodą i pana młodego, sam ze sobą bierze ślub, prowadzi flirt, spory, tańczy itp.). Wydawałoby się, że dalej pójść nie sposób. A jednak Henryk Giżycki – aktor i Ryszard Smozewski – reżyser zaproponowali nam monodram w kościele. To nie był już spektakl, ale coś w rodzaju psychodramy. Giżycki był księdzem Skargą, głoszącym z ambony gotyckiej świątyni słynne „Kazania sejmowe”, widzom zaś przydano rolę uczestników obrzędu. Przy całym uznaniu dla aktora (świątyni) zabieg ten wzbudził u wielu żywiłowy sprzeciw. Bo też propozycja miała cechy wymuszenia, nieczystej gry z widzem. Ale słuchało się tych „Kazań” świetnie. Tak jakby napisano je wczoraj.

Tyle o eksperymentach

Dalej było już na OFTJA zwyczajnie, choć bynajmniej nie nudno. Nurt „normalnych” przedstawień, szczególnie jeśli są sprawnie wyreżyserowane i profesjonalnie zagrane, ma swoje uroki. Przykład obspanego nagrodami „Kontrabasty” mówi sam za siebie. Sztuka Suskinda – tak jak „Ja, Feuerbach” – to koncert na jednego, najlepiej wybitnego aktora. Wymaga od reżysera precyzji, od wykonawcy – warsztatu, jednak jest tak efektywnie napisany, że jeśli te podstawowe warunki zostaną spełnione, musi osiągnąć sukces. Przed laty stał się on udziałem Jerzego Stuhra, obecnie Emiliana Kamińskiego. Wszystko było w tym przedstawieniu właśnie profesjonalne – stąd też solowa partia na aktora i kontrabas wygrała festiwal. Jest w tym jakiś znak czasu. Przed laty festiwal miałby prawdopodobnie innego laureata, nagrodzono by raczej szaleństwo, eksperyment. Ale dziś, w dobie coraz powszechniejszego braku kompetencji, tęsknota za normalnością, perfekcją właśnie, okazała się silniejsza. Zmęczenie materii?